

BÓL jest już papierem. Ból życia rodzinnego w nowoczesności naszej, która nie sprzyja życiu rodzinnemu – w teatrze szeleści martwością. Ból domowej rośliny, podszytej psychicznymi toksynami, dla nowej dramaturgii naszej stał się już tak tandetnym gadżetem dyżurnym, że ciekawsza odeń jest doniczka kraszona dowolnym kłęczem. Choćby rzepą. W środę wieczorem kontemplowałem akurat kaktusa.

Podziwiałem zielone kolby koczające w brązowej doniczce, co z prawej strony sceny na półeczce przyspawanej do białej żerdzi sterczały. Podziwiałem polskie bonzai naczelną roślinę Meksyku, bo w ramach cyklu „Środowa scena studyjna”, Teatr Ludowy pokazał pod Ratuszem wyreżyserowany przez Piotra Jędrzejasa „Bajzel” pióra Krzysztofa Czeczota – i coś przeciwko robić musiałem. Tak, czy nie?

Spokojnie, nie będę karbował loczków wica o związkach tytułu z zawartością dzieła, związkach, które okazały się związkami zgody idącej bardzo daleko. Odpuszczam. Lepiej uczynię, jak się teraz trochę zdrzemnę, wy zaś poczytajcie o, by tak rzec, fabularno-problemowych przyczółkach „Bajzlu”. No, to – tymczasem...

Współczesna rodzina. Mieszkanie w bloku. Nie jest dobrze. Nasza mała nowoczesność nie sprzyja rodzinie, bo w naszej małej nowoczesności praca

Paweł Głowacki

Akurat kaktus

niepewna – bezrobocie czyha. I owszem – syna z firmy wywalili. Syna oczywiście wyczerpuje to psychicznie. Ojciec choruje na Alzheimera, a tu nie ma na leki. Ojca oczywiście wyczerpuje to psychicznie. Córnka, którą nowoczesność już dawniej wyczerpała psychicznie – ratuje się kochając podróżą po Europie. Narzeczona syna zaś, także wyczerpana psychicznie, nie wytrzymuje napięcia i na kursokonferencji w ciąży zachodzi z kolegą, w związku z czym psychicznie wyczerpany bezrobociem syn wali ją w pysk tuż przy kuchence mikrofalowej, gdzie nasza mała „puszczalska” nowoczesności chwilę temu pierogi niedoszłemu teściowi podgrzała.

Czy już wam mówiłem przez sen, że drzwi do pokoju, w którym matka przebywa, są intrygująco uchylone? Nie? Nie szkodzi. W naszej nowoczesnej dramaturgii zawsze jest jakieś intrygujące uchylenie sączącego się cierpienia. A czy mówiłem, że matka do łóżka na wieki przykuta i, rzecz jasna, psychicznie wyczerpana warunkami mordegi swej? Nie mówiłem. Ale

i to nie szkodzi. W naszej małej dramaturgii nowoczesnej biedne matki zawsze dają do bolesnego wiwatu – i mrą małowniczo. Amen. A ja? Byłem coraz intensywniej wyczerpany psychicznie. To jasne. Kaktus zaś na żerdzi tkwił niewzruszenie...

Co, jesteście już po lekturze fabularno-problemowej kluski? To dobrze. Ja też jestem po. Po drzemce jestem i wypoczęty mogę jechać dalej. Problem tylko – dokąd? Ano – na wiejski odpust. By nie przedłużyć kaźni, powiem prosto. Nasza mała nowoczesna dramaturgia jest niczym odpustowy blat stołu na placu przed kościółkiem we Wdzydzach. Tam – nędza identycznych, tandetnych, gipsowych figurek Matki Boskiej, w ilości 83 sztuk. Tu, na papierze dramaturgów – porównywalna uniformizacja pospolitego bełkotu o bólu życia dziś.

Biorąc w garść świeży tekst dramaturga naszej małej nowoczesności, możesz postawić wszystko, że dramaturg uraczył cię jakąś toksyną nowoczesności. Narkotyki, bezrobocie, uwiąd miłości, brak perspektyw, rozpacz nielecz-

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

negu Alzheimera. Oczywiście – biedna matka umiera pierwsza. Oraz – wszyscy cierpią do wiwatu. Dramaturg naszej małej nowoczesności jest jak pies Pawłowa. Ma sobacze tiki. Kiełbasa – ślinotok. Pisanie dla teatru – atramentotok bólu życia tu i teraz... Powoli zaczyna być to żałosne. Gdy tylko wybiła godzina pisania – dramaturg psim gestem zdejmując ze ściany sztancę bólu w dobie dzisiejszej społecznej obojętności na ból.

Dla jasności dodam – w maniakałnym tym wymachiwaniu narkomanią, brakiem perspektyw bądź widmem żon wojaków rezydujących w Iraku, problemem nie jest ani kokaina, ani ciemność na widnokręgu, ani marazm matki z trójką dzieci na głowie i mężem opalającym się na arabskich piachach. Problem to sążnista grafomania dramaturgów naszej małej nowoczesności. Fatalnością jest tu bełkot, brednia łatwizny, z jaką młodzież pisząca nazywa świat. Gdy na odpustach przyglądałem się świętym, debilnie identycznym figurom gipsowym – głęboko tam zaczynam mieć wiarę jako taką. I tam też ląduje jęk

ludzki, gdy setny raz czytam albo w teatrze oglądam dukanie młodzieńca epatującego mnie zdjętym ze ściany – wzorcem jęku.

Zmienili ból w papier bólu jak spody igły. Reżyser, który w ramach tego samego cyklu, na tej samej scenie pokazał ongiś wyśmienitych „Świadków, czyli naszą małą stabilizację” Tadeusza Różewicza, dziś katuje mnie bełkotem Czeczota. Co z tym uczynić? Ile razy można dyrektorów teatrów błagać o czytanie i zadumanie się nad literaturą, którą natchniony reżyser składa jako propozycję?

Kto uczy czytać młodzież, skoro ta z Różewicza na Czeczota przelezi tak lekko? Pytam, bo pytam. W istocie – obojętnieję. Już nie mam sił. Marzę tylko, że Różewicz, co w „Świadkach, czyli naszej małej stabilizacji” sparodiował kuchenny, zuniformizowany szczebiot letniej epoki lat sześćdziesiątych – popęlni dziś „Kaktusa, czyli naszą małą nowoczesność”. Nie, nie napisze parodię bełkotu naszego świata. Napisze parodię bełkotu naszej dramaturgii. O tym marzę i – nie wierzę. Spokojnie – nie napisze. Zostanie nam dramaturgia „czeczotopodobna”. I kaktus jako szczyt prawdy teatralnej.

Teatr Ludowy. Scena pod Ratuszem. Krzysztof Czeczot „Bajzel”. Reżyseria Piotr Jędrzejak. Scenografia Marcin Chlanda. Muzyka Dariusz Puk.